



CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE
 DLA DZIECI.



EODOREK dzielny, żwawy,
Do roboty, do zabawy,
Zawsze wesół i ochoczy,
Na głos matki w lot po-
[skoozy;
W każdej chwili na ski-
[nienie,
Gotów spełnić jej zlec-
[nie.

Ale trudno być bez wady,
Bo już na to niema rady,
Ludzie nie są doskonali,
Aby w dobrém wciąż wytrwali—
I nasz chłopak, tak poczciwy,
Bywał czasem popędliwy.

Raz dla matki na wiązanie,
Wykończył powinowanie;
Napracował się nie mało,
Ale ślicznie się udało;
Kaligrafia i ozdoby,
On na wszystko miał sposoby.

Schowal papier do stolika,
Lecz nie wyjął zeń kluczyka,
A siostrzyczka psotna mała

Do szuflady się dobrała,
Nieostrożnie się bawiła,
I kałamarz wywróciła.

Łatwo zgadnąć, co się stało—
Atramentu się nalalo
Do szuflady, co w niej było,
Wnet do szczętu się zniszczyło.
Już się dziecku na płacz zbiera—
Wtém braciszek drzwi otwiera.

„Teodorku, to niechoć!”
Jadzia woła i proszący
Wzrok podnosi, rączki składa—
Ach! nieszczęsna ta szuflada!
Atramentu pełno wszędzie,
Już z wiązania nic nie będzie.

Chłopak stanął w ogniu cały,
I lzy żalu go oblały,
A i gniewem kipi razem:
„Ej nie ujdzie ci to płazem!”
I już pięścią wymachuje...
A wtém nagle się wstrzymuje.

Chwyta pismo poplamione
I wybiega w drugą stronę
I przed matką naraz staje,
Smutne szczątki jej oddaje.

Z oczu jego łezka spływa,
On w te słowa się odzywa:

„Patrz, mateczko, Jadzia mała
Taką psotę mi spletała.
Ja się strasznie rozgniewałem,
Ledwo, ledwo się wstrzymałem—
To zwycięstwo, to wyznanie,
Przyjmij, mamó, na wiązanie.“

Bożena.

WUJASZEK Z ZA MORZA.

Komedyjka w 2-ch aktach

przez **Bożenę.**

(Dokończenie).

S C E N A II.

Ciż SAMI, ADAŚ.

ADAŚ. (wbiega z papierem w rękę). Telegram! telegram dla Helenki i Kazi!

KAZIA (chwytając telegram z żywością). Daj, to pewno od wuja; czyżby już miał przyjechać. (czyta głośno) „Jestem w Warszawie—odpocznę—do was przyjadę we czwartek.“ (mówi) A dziś dopiero wtorek. Więc jeszcze dwa dni oczekiwania i niepewności. Idę dać znać Helence. (wychodzi).

S C E N A III.

PAN NESTOROWICZ, ADAŚ.

ADAŚ. Co za szczęściel we czwartek zobaczę prawdziwego Anglika. Nigdy jeszcze w życiu takiego cudzoziemca nie widziałem. (machając ręką). Tylko że ten sir Milford nie może być zupełnie prawdziwym Anglikiem, kiedy jest wujaszkiem polskich panienek.

P. NESTOROWICZ. Cóżto za dziwaczne masz o tém wyobrażenia. Wiesz przecież, że w Europie niema ani murzynów, ani czerwono-skórych, cóż Anglik lub inny cudzoziemiec może mieć w sobie tak nadzwyczajnego.

ADAŚ. Ale zawsze, proszę pana, taki człowiek, co mieszka na wyspie i ciągle po morzu żegluję, musi być trochę podobny do Robinsona. Jaka to szkoda, że ja nie mam jakiego wujaszka Anglika albo Amerykanina; możeby mię zabrał z sobą na okręt.

P. NESTOROWICZ. Jeszcze czego brakowało.

ADAŚ. Chociaż mnie się zdaje, że jeżeli ja jestem stryjecznym bratem Helenki i Kazi, to ich wujaszek musi być i moim także... nie wiem doprawdy czém... czy teściem, czy szwagrem.

P. NESTOROWICZ. Pocóż ci to pokrewieństwo.

ADAŚ. Proszę pana, czy krewny, czy nie krewny, a nuż ten żeglarz mnie tak polubi, że powie:—Jedź ze mną, chłopcze, na morze, do dzikich krajów, na bezludne wyspy! Jabym zaraz pojechał... (zakłopotany), żeby tylko mama pozwoliła.

S C E N A IV.

Ciż SAMI, MAGDUSIA.

MAGDUSIA. A niema tu panny Helenki? Ja mam panience bardzo pilną rzecz powiedzieć; może panicz wie, gdzie poszła? już byłam we wszystkich pokojach.

S C E N A V.

Ciż SAMI, HELENKA.

HELENKA. Jestem, jestem, Magdusiu; ja właśnie ciebie szukałam, bo mi powiedział Wawrzyniec, żeś przyszła. Cóż tam, czy dowiedziałaś się?

P. NESTOROWICZ (do Adasia). Chodźmy chłopcze do naszych lekcyj. (wychodzą).

S C E N A VI.

HELENKA, MAGDUSIA.

MAGDUSIA. Wiem już wszystko, panienko. Ta kolonia naprawdę się sprzedaje, bo właściciel chce sobie kupić dom w mieście. Aj, co to za śliczna kolonia! żebyż to panienska widziała, jaki tam ogród, jaki sad; a owocel wszyscy mówią, że jak zarodzą gruski, śliwki, jabłka, to lepszy z nich grosz

można mieć, niż z pszenicy i żyta. Tyło że to trzeba pilności.

HELENKA. Już ja potrafię dopilnować wszystkiego, bądź spokojna. Żeby tylko cena nie była zbyt wielka; tak mi się chce tej kolonii. (prawie do siebie). Sprzedaż owoców, fabryka koronek, tożto świetne można mieć utrzymanie.

MAGDUSIA. On się nie będzie drożył, ten właściciel, proszę panienki; mówią nawet, że dałby i na wypłat, żeby kto tylko jaknajprędzej chciał kupić, bo chce się pozbyć tej kolonii koniecznie. Już jeżeli panienka to kupi, to ja zaraz zgodzę się do krów. Aj, jakie tam krówki śliczne!

HELENKA. Z nabiału także można mieć dochód nie lada. (do siebie). Mój Boże, mój Boże, żeby tylko wuj się zgodził. Jeżeli jeszcze będzie miał trochę pieniędzy ze sprzedaży tych swoich ruchomości i zechce dodać coś do tego, co my za brylanty dostaniemy...

S C E N A VI.

TEŻ SAME, wbiega ADAŚ.

ADAŚ. Helenko, Helenko! co to znaczy? Jakiś pan tu idzie, piechotą, z ogromnym workiem w rękę; tak jakoś dziwnie ubrany; doprawdy podobny trochę do Robinsona. Mnie pan Nestorowicz chciał już do lekeji zasadzić, ale się wymknąłem na chwilkę, żeby go zblizka zobaczyć, bo on sobie powolutku idzie przez podwórze, rozgląda się na wszystkie strony. Może to także jaki żeglarz z Anglii, albo z Ameryki, może przyjaciel waszego wujaszka.

HELENKA. (z żywością). Może on sam! ale dopióro we czwartek miał przyjechać. Ach, jak mi serce bije! Magdusiu, pobiegnij po Kazię. (Magdusia wybiega).

S C E N A VII.

HELENKA I ADAŚ.

HELENKA. Czy tylko tobie się nie przewidziało, Adasiu. I chciałabym wybiedz, i sama nie wiem... może to jaki włóczęga; gdzieżby wuj znów przychodził piechotą.

ADAŚ. Chyba jakiś nie tutejszy włóczęga. Niech sobie co chce mówi pan Nestorowicz, że wszyscy Europejczycy jednakowo wyglądają; ten podróżny doprawdy do niko-go nie podobny, chyba do Robinsona.

S C E N A VIII.

CIŻ SAMI, KAZIA.

KAZIA (wbiega zadyszana). To on, Helenko, to wujaszek, poznałam go, zupełnie do fotografii podobny.

HELENKA. O, mój Boże! Chodź, chodź prędzej, spieszmy go powitać! (biegną do drzwi, w tej samej chwili za sceną daje się słyszeć donośny głos: *All right!*¹⁾ drzwi się otwierają i wchodzi Sir Milford i p. Nestorowicz).

S C E N A IX.

CIŻ SAMI, SIR MILFORD, w ubiorze niezwykłym, w czapce jasnej, z uszami, owinięty szalem kraciastym jaskrawym, z workiem podróżnym w rękę).

P. NESTOROWICZ (wprowadzając go). Oto są, oto są siostrzenice pańskie. Dzięki Bogu, żeś pan już przybył szczęśliwie. Tu pana niecierpliwie oczekiwano.

HELENKA I KAZIA. Wuj, wuj Ryszard! (chwytają go w objęcia, całują go rękach).

SIR MILFORD. *All right*, dzieci; udusicie mnie zaraz na progu. Nie spodziewałyście się mnie? a ja naumyślnie wam chciałem niespodziankę zrobić. (Helenka i Kazia odebrały mu tymczasem worek, zdjęły szal i czapkę, po składały to wszystko na krzesło).

HELENKA (prowadząc go do fotela). A pocóż to kochany wujaszek takiego figla nam wypłatał? Żeby też piechotą iść taki kawał od stacyi kolei.

KAZIA. Żeby nie dać znać; byłyby konie czekały.

(ADAŚ, który przypatrywał się przez ten cały czas z wielką ciekawością nowoprzybyłemu, wysuwa się cichaczem razem z p. Nestorowiczem. SIR MILFORD siada na fotelu, przy nim na krzesło HELENKA, KAZIA przysuwa sobie niski stołeczek i siada przy jego nogach).

¹⁾ Czytaj: *Ol rajl*.

SIR MILFORD. (do Helenki). Jakaś ty podobna do mojej nieboszczki matki. Już z fotografii to widziałem, ale nie tak wyraźnie. (całuje ją w czoło, do Kazi) A ta, to musi być wielka figlarka. (całuje ją także w czoło). Poczciwe dzieci; a ja myślałem, że nieszczęśliwie będę przyjęty z takimi smutnymi wiadomościami.

HELENKA. O, wuju, czy to się godzi! Ty, nasz dobroczyńca, drugi nasz ojciec, jak mogłeś tak źle o nas sądzić?

KAZIA. Wujaszku kochany, ja jestem strasznie niecierpliwa; muszę więc odrazu się wygadać z tém, co mam na sercu. Nam się ta podróż wujaszka do Indyj wcale a wcale nie podoba. My zupełnie inne mamy zamiary. Ale Helenka to lepiej odemnie opowie.

SIR RYSZARD. *All right*; i one także mają swoje zamiary. Zobaczymy, zobaczymy; ale niechno ja wprzód załatwię ważniejsze sprawy, bo nie wiele mam przed sobą czasu. (wyjmuje z kieszeni pugilares). Kochane moje dzieci; ludziem was nadzieją wielkiego majątku, a oto z tego wszystkiego, co posiadałem, tyle mi tylko zostało—tysiąc funtów szterlingów. Jest to wasza własność, ja nic nie potrzebuję, mam posadę w Indjach...

KAZIA. (przerzywa z żywością). O, niedobry wuju! I ty naprawdę myślałeś, że my to przyjmujemy, że ci wydrzemy tę resztę mienia, która jeszcze ci może spokojną starość zapewnić?

HELENKA. Nic z tego, wuju; my daleko lepsze mamy projekta. Tysiąc funtów szterlingów, mój Boże! toż to majątek. A zapomniałeś zupełnie, wujaszku, o brylantach i innych kosztownych klejnotach, które nam przysłałeś. Gdy spieniężymy to wszystko, będą znów ruble, a gdy je dołożymy do tych funtów... (wesoło), ależ, wujaszku, my będziemy doprawdy bogaci.

SIR MILFORD. (z żywością). Więc i brylanty chcecie sprzedać? (po chwili smutnie). Prawda, że ubogim dziewczętom te zbytki niepotrzebne.

KAZIA. Zupełnie niepotrzebne, wujaszku, a pieniądze kupa się z tego zbierze.

SIR MILFORD. Dzięki Bogu; wszystko to wasze.

HELENKA. Wszystko to *nasze* wuju, a nas

jest troje, wuj, i nas dwie. Ja tu w sąsiedztwie upatrzyłam przeliczny dom wiejski, z ogrodem, łąką, z krówkami i całym gospodarstwem; można go kupić niedrogo. Zapewne, że to mieszkanie nie jest tak okazałe, jak twoja willa pod Londynem, nie będzie w niem licznój służby, ale ja, wujaszku, będę twoją gospodynią; zobaczysz, jak ja tam wszystko urządzę, jakimi staraniami cię otoczę. Zobaczysz, że w końcu zapomnisz o swoich bogactwach.

KAZIA. Poco ci jechać do tych Indyj, wujaszku; chcesz chyba i nas zabrać z sobą, bo my ciebie za nic w świecie nie odstąpimy.

HELENKA. (klękając przed nim). Wujaszku, nie opuszczaj nas; wszak przyrzekłeś nam ojca zastąpić.

KAZIA. (klękając obok niej). Zostań z nami, wujaszku, my cię tak będziemy kochały.

HELENKA. Wszelkich starań dołożymy, żeby ci z nami było dobrze.

SIR MILFORD. (ściska je i podnosi z rozrzewnieniem). To pytanie, czy jabym teraz bez was żyć potrafił. Ale czy wy wiecie, dzieci? może ja jestem kapryśny, nieznosny dziwak, możebyście nie wytrzymały ze mną.

HELENKA. To już nasza rzecz. Choćby wujaszek nie wiem jak kaprysił i dziwaczył, to ja cierpliwie to znieść potrafię; ale mi się zdaje, że ja potrafię także i dogodzić wujaszкови tak, że nie będzie czego dziwaczyć.

KAZIA. Więc słowo, wujaszku, o Indjach już mowy niema.

SIR MILFORD. Słowo uczciwego gentlemana; ¹⁾ *All right!* Zostanę w Polsce, w ojczyźnie mojej drogiej matki.

KAZIA. Wybornie. Kupujemy tę śliczną kolonią, tu niedaleko, a ja, jak tylko ukończę pensyą, także tu zjeżdżam i we dwie z Helenką, jak zaczniemy gospodarować, owoce sprzedawać, jarzyny hodować, wyrabiać sery... ach, zapomniałam; toż ona jeszcze i koronki umie robić, a ja się także nauczę. Będzie nam tak, jak w rajcu.

SIR MILFORD. (z uśmiechem). Ale nie wierzcie temu, co powiedziałem przed chwilą; ja wcale nie jestem dziwakiem. Kłopotu ze mną mieć nie będziecie.

¹⁾ Czytaj dzentelmana.

HELENKA. Myślał wujaszek, że mnie nastraszy. Oho, ja wcale nie jestem taka bojaźliwa.

KAZIA. Ani ja także; ja tylko tych Indyj bałam się okropnie, bo żeby się wujaszek uparł, musiałabym i ja tam jechać i dopiero naprawdę chyba wyszłabym na dziką kobietę, jak powiada pan Nestorowicz.

S C E N A X.

Ciż SAMI, ADAŚ.

ADAŚ. Przyjechał jakiś człowiek na koniu i powiada, że ma bardzo ważny i pilny interes do pana Robinsona... ach, omyliłem się, do pana Anglika. Trzyma jakiś papier, ale nie chce go oddać, tylko do rąk własnych pana Ro... pana Anglika.

SIR MILFORD. To chyba jakaś omyłka, któżby tu mógł mieć interesa do mnie, kiedy ja nikogo nie znam w tym kraju?

HELENKA. (niespokojnie). A może to jaka wiadomość z Anglii? Byle nie co złego, broń Boże!

SIR MILFORD. A cóżby mię złego spotkać mogło, kiedy dzieci moje są tu przy mnie, zdrowe i całe? W Anglii miałem majątek, już go niema, ale mniejsza tam o niego, ja za to pozyskałem skarb szacowniejszy, kochającą rodzinę. Mój młody gentlemanie, powiedz temu posłancowi, że może wracać tam, z kąd przybył, bo ja żadnych interesów nie mam nigdzie i żadnych wiadomości nie potrzebuję.

KAZIA. Ależ trzeba koniecznie się dowiedzieć, co to jest; ja pójdę sama. (wychodzi).

S C E N A XI.

SIR MILFORD, HELENKA, ADAŚ.

ADAŚ. (na stronie). Nazwał mię gentlemanem; podobałem mu się widocznie. Jakby to się z nim zapoznać bliżej.

SIR MILFORD. (do Adasia). Młody gentlemanie, czy masz ochotę do marynarki?

ADAŚ. (podbiegając). O, ogromną; ale jakże pan to mógł odgadnąć?

SIR MILFORD. Nic dziwnego; upodobanie to jest każdemu porządnemu gentlemanowi właściwe.

ADAŚ. Aha! więc ja wyglądam na porządnego gentlemana. Szkoda, że pan Nestorowicz tego nie słyszy.

SIR MILFORD. A czy byłeś już kiedy na okręcie?

ADAŚ. Ba! żebyż to tak łatwo było. Ale pan prosto z Anglii przyjechał, to nie wie pan, że u nas tu niema ani morza, ani okrętów.

SIR MILFORD. Tak, tak; to wielka szkoda, żebyście tu mieli choć kawałeczek oceanu, nie byłoby piękniejszego kraju na świecie.

HELENKA. Wujaszku drogi, zobaczysz, że ci tu będzie dobrze i bez oceanu.

ADAŚ. Jest u nas wprawdzie rzeka i dość szeroka...

S C E N A XII.

Ciż SAMI, KAZIA z papierem w ręku.

KAZIA. To telegram, aż z Anglii; ten posłaniec powiada, że przesłany jest drogą urzędową, z osobnym poleceniem do wszystkich urzędników biur telegraficznych, aby nie szzczędząc kosztów odszukali Sir Ryszarda Milforda, nim opuści Europę. To musi być coś niezmiernie ważnego.

SIR MILFORD. (biorąc papier powoli i oglądając go na wszystkie strony). Co to może być? długi przecież wszystkie pospłacałem przed wyjazdem, więc nie powinnyby mnie za długi aresztować. Ale któż wie, może jeszcze i te tysiąc funtów trzeba będzie oddać. (do Helenki i Kazi). Wtedy już chyba na waszój łasce zostanie, kiedy mię nie chcecie puścić do Indyj.

HELENKA. O, wuju, brylanty wystarczą na kupienie tego domku, o którym ci mówiłam, a mając zdrowe ręce, zapracujemy i na swoje i na twoje utrzymanie.

KAZIA. O, żeby ja tylko pensją ukończyła, bo przecież dyplom mieć muszę.

ADAŚ. (na stronie). Ale ten pan Robinson doprawdy nic a nic nie ciekawy. Taki telegram przybywa aż z Londynu, przechodził więc przez morze, a on go tak ogląda na wszystkie strony, ani myśli otwierać. A... przecież...

(SIR MILFORD otwiera powoli telegram, czy-

ta go cicho, z miną zupełnie obojętną; dzieci wpatrują się w niego w milczeniu).

SIR MILFORD. (chowając obojętnie telegram do kieszeni), *All right*.

KAZIA. Cóż tam wuju, nic złego zapewne?

SIR MILFORD. Nie, nie, uspokójcie się, dzieci, wiadomość jest nawet wcale dobra; w każdym razie, *All right*.

HELENKA. Więc nic się nie zmienia w naszych projektach? *

SIR MILFORD. Tego nie mówię; projekta muszą się troszeczkę zmienić.

HELENKA. (niespokojnie). Zmienić!

KAZIA. Cóżto może być!

ADAŚ. (cicho do Kazi). Może jakaś taka wiadomość, że będzie musiał koniecznie jechać na bezludną wyspę. Ach! żeby mama pozwoliła... onby mnie pewnie zabrał z sobą, nazwał mnie przecież gentlemanem.

KAZIA. (ruszając ramionami). Niechże Bóg broní, żeby miał odjeżdżać.

SIR MILFORD. (wyjmując telegram z kieszeni). Jeżeliście ciekawe, oto co mi donosi zarząd banku, w którym cały mój majątek był złożony: „Powracaj pan do kraju. Wiadomość była mylna; okręty wszystkie w całości przybyły w tej chwili do portu. Nasz bank żadnej straty nie poniósł.“

HELENKA. O mój Boże!.. więc majątek wujaszka...

SIR MILFORD. A naturalnie, że także ocylony.

KAZIA. (klaszcząc w ręce). I znowu wujaszek taki bogaty, jak przedtém?

SIR MILFORD. (z uśmiechem). Trochę nawet muszę być bogatszy, bo te okręty miały mi znaczne zyski przywieźć.

ADAŚ. Niéma to, jak morskie podróże!

HELENKA. (smutniej). To jedno tylko niewesołe, że tam w tym telegramie piszą: Powracaj pan do kraju.

KAZIA. Ach, prawda!

SIR MILFORD. Cóż kiedy mnie już dziś honor nie pozwala wracać do kraju. Wszakże dałem słowo ucziwego gentlemana, że zostanę z wami tu w Polsce, w ojczyźnie mojej matki. Porządny gentleman nie może złamać swojego słowa.

ADAŚ. (na stronie). A więc to to znaczy, porządny gentleman.

HELENKA I KAZIA. (tuląc się do wuja) O, co za szczęście, co za szczęście!

ADAŚ. (na stronie). On mnie także porządnym gentlemanem nazywał, a ja dałem słowo panu Nestorowiczowi, że przyjdę zaraz na lekcję... (wybiega).

SCENA XIII.

SIR MILFORD, HELENKA I KAZIA.

SIR MILFORD. Żaden majątek, żadne skarby świata, nie zastąpią mi serc waszych, dzieci kochane. Pozostanę w tym kraju, gdzie tyle doznałem pociechy, tu resztę dni spędzę, wśród rodzinnego szczęścia, w ojczyźnie mojej matki.

Zasłona zapada.

DOMOWA APTECZKA.

Pani Kalńska miała zwyczaj codziennie z dziećmi chodzić na przechadzkę. Wybierała się zawsze z koszyczkiem na rękę, dzieci niosły swoje zabawki, swywołąc przez cały czas wesoło. Zajmowała je naraz rzecz każda: ptaszki, wiewiórki, kwiatki, muszki, kamyczki, słowem wszystko, co na swój drodze spotykały. Matka zaś zwolna kroczyła za nimi, uważając, by przy zabawie nie zrobiły sobie co złego i od czasu do czasu schylała się, zbierając rozmaitego gatunku rośliny, których znała własności lekarskie. Po powrocie do domu, każdą z nich, stosownie przyrzędzoną, ustawiała w domowej apteczce.

Pewnego dnia, na zwykłej przechadzce, mała Janinka podbiegła do matki, mówiąc:

— Droga mamo, poco ty zawsze tak pilnie zbierasz jakieś zielsko, zamiast patrzeć, jak ślicznie te białe chmurki przesuwały się po błękitie, lub jak wiewióreczka przebiega z drzewa na drzewo. Tyle zresztą pięknych rzeczy jest do zobaczenia w tym lesie, a ty ustawicznie śledzisz na ziemi, gdzie jaką

choćby tak brzydką znaleźć możesz roślinę, jak piołun, nie mówiąc już o innych.

— Drogie dziecię, człowiek nie jest stworzony na to, aby tylko w niebo patrzeć i zachwycał się grupowaniem chmur, pięknoscią drzew i liści, odrywał od ziemi i spraw jój, szybując myślą za orłem gdzieś pod obłoki. Przeznaczeniem jego jest raczej spoglądanie ciągle w tę ziemię, która mu przypomina jego nicosć i każe czynami bogacić ducha, by tém mógł złobywać wyższość swoją nad zwierzętami, a w chwili rozstania się z ciałem ulecieć do Boga na wieki. Ponieważ jednym z najszlachetniejszych czynów jest niesienie pomocy bliźniemu, a w każdej czynności człowiek cel pewien mieć powinien, przeto i ja, drogie dziecię, zbierając to brzydkie zielsko, które ci się tak nie podoba, pragnę niejednemu przynieść niém ulgę w cierpieniu. Pośpiechem i gotowością pomocy daje człowiek dowód miłości bliźniego, jaka w każdym sercu mieścić się powinna, bo ją Bóg wszystkim zalecił.— Dziecko słuchało z największą uwagą tego, co matka mówiła, starając się jak najlepiej zrozumieć, jednakże młodziutki umysł nie mógł dobrze pojąć miłości bliźniego. Janinka знаła miłość dla mamy i taty, a tutaj matka mówi, że Bóg zalecił miłość bliźniego. Musiało tak więc być koniecznie, bo zlecenia Boże matka powtarzała jój przed chwilą tak poważnie, a biedna jój mała główka pojąć tego nie mogła. Głęboko tylko w serduszkach zapisała sobie słowa matki i pobiegła za rodzeństwem, gdzie ją wołano do gry w wolanta, lecz myśl jój ciągle była zajęta tém, co dopiero słyszała.

Wrócili dzieci z przechadzki do zwykłych zajęć domowych i nauki, wszystko dalej poszło swoim torem, gdy pewnego dnia, w parę tygodni po wyżej opisaną rozmowę, przybiega do dworu żona gajowego, i płacząc opowiada, że mąż jój przed chwilą miał straszny wypadek. Kładł na wóz pnie wielkich drzew, które był wykopał, aż jeden z nich stoczył się na niego i korzeniem szkaradnie rozdarł policzek, wybijając kilka zębów. Pani Kalińska czempredźej wydobyła z apteczki spirytus nalany na pączki brzozywe, mający własność tamowania krwi i wzię-

wszy z sobą małą Janinkę, pobiegła do zranionego.

Na widok ciężko skaleczonego biedaka, ścisnęło się dobre serduszko Janinki. Tu dopiero poczuła w niém miłość ku drugim, zrozumiała całą doniosłość słów matki i znaczenie dobrego względem bliźnich uczynku. Widząc skrwawionego i jęczącego z bólu, cóżby była dla niego nie zrobiła, nie oddała, aby mu chociaż chwilową sprawić ulgę. Łzy jój tylko płynęły strumieniami, podczas gdy pani Kalińska zręcznie i umiejętnie opatrywała ranę chorego. Rozrzewniały ją jeszcze więcej błogosławieństwa, jakimi chory obsypwał jój matkę.

Dobra matka skorzystała ze sposobności, aby udzielić naukę córeczce, że nie samą łzą należy pomagać bliźnim, ale czynem i środkiem, o którym dobrze jest pomyśleć we właściwym czasie. Dziewczynka, dziękując drogiej matce za uwagi, z wdzięcznością je przyjmowała i gorąco obiecywała korzystać z nich na przyszłość.

Innym razem kobieta przyniosła dziecko całe wyrzutami pokryte; pani Kalińska kazała je kąpać w bratkach, pospolicie rosnących na ozimych polach, zalecając, by je dawano również jako napój dziecinie, a ta po pewnym przeciągu czasu zupełnie przyszła do zdrowia.

Zachęczone tém dzieci państwa Kalińskich, idąc na przechadzkę, okazywały zawsze wielką gotowość do zbierania ziół lekarskich, według wskazań matki, która rada była, że je może zawczasu obeznać z szacownymi ich własnościami.

Raz wracając z przechadzki zastały ojca siedzącego na ganku, gdzie miał zwyczaj codziennie po obiedzie gazety czytywać. Pokazały mu z radością pełne koszyczki: piołunu, mięty, rumianku, goryczki i t. d.

Ojciec pochwalił ich pilność i zamiłowanie w dobrém, wyjmował po kolei wszystkie rośliny, każdą nazywając, a gdy koszyczki już były próżne i roślinki porozdzielane, zaproponował, aby dzieci poszły z nim do biblioteki. Uszczęśliwione, chętnie przystały na to, spodziewając się coś pięknego usłyszeć i nie zawiodły się. Ojciec zdjął z półki poezye Kondratowicza (Syrokomi) i prze-

czytał im w tłómaczeniu wiersz Klemensa Janickiego, poety z XVI-go wieku, piszącego po łacinie:

„Stwarzając ziemię, Stworzyciel łaskawy
Stworzył nam razem i ulgę w niędoli:
Wsączył moc dzielną w rośliny i trawy,
Aby w potrzebie służyły nam gwoli;
Wlał ją w kamienie, w metalowe ziarnka,
Natchnął nią ptaki i zwierzęta ziemi.
Długo leżała ta boska lekarka
Nieznana, między ludy pierwotnemi.
Nakoniec dowcip w obrotach szczęśliwy

Pieśni dawne i dawni pieśniarze.

(Ciąg dalszy).

Sama bitwa na Kosowém polu opisana jest w licznych pieśniach, które nie wszystkie się z sobą zgadzają. Wiele też w tych opisach jest wyraźnych zmysłów i dodatków. Tak naprzykład wiadomo, że Jug, wielkorządca z czasów cara Duszana, zginął w dawniejszej walce z Turkami, przed wyniesieniem



Wzór do rysunku.

Wdzięcznym się łupem natury przydział;
Poznał przyjazne i szkodliwe wpływy,
I z nich dwoisty ustanowił podział.
Ztąd sztuka leków, ztąd walka zawzięta
Z rojami chorób, co nam ciało dręczą;
Nad zbitym wrogiem, nieraz sztuka święta
Wznosiła sztandar prawicą młodzieńczą.“

Bardzo się wiersz ten dzieciom podobał, obiecały go się nauczyć na pamięć, a nieustając w podjętej pracy, stały się dobroczyncami nietylko swojej wioski, lecz prawie całej okolicy.

K. S.

zięcia swego Lazara na tron. W pieśni jednak stary Jug i dziewięciu synów jego Jugowiczów, braci Milicy, zasiada przed bitwą do wspólnej uczty w namiocie króla Lazara i walczy później przy jego boku. Rycerze wiedzą, że wojsko tureckie jest bardzo liczne, wyrażają to w pieśni przez takie naprzykład porównania:

— Gdybyśmy wszyscy, ilu nas jest Serbów, zamienili się w bryłę soli, jeszczeby jej nie stało Turkom na jedną wieczere...—a dalej znów:

— Piętnaście dni krążyłem między Tur-

kami i żołnierzy ich zliczyć i stanowiska zliczyć nie mogłem. Obóz rozciąga się od gór do lasu, od lasu do potoku... Cała równina pokryta Turkami, koń stoi przy koniu, człowiek przy człowieku; ścieśnione żelazca dziurków lśnią się zdaleka, jak powierzchnia skały; sztandary unoszą się nad nimi, jak obłoki, namioty błyszczą, jak kupy lodu.

Wuka, pogarda i przekleństwo. Przytoczymy tu jeszcze niektóre piękniejsze ustępy tej epepei serbskiej.

— Car Lazar siedział przy wieczerzy, a obok niego caryca Milica. I rzekła do niego caryca Milica:—Carze Lazarze, serbska korona złota! Ty jedziesz jutro na Kosowe pole, bierzesz z sobą wszystkie wojewody i



Skarby morza.

Kropla deszczu, spadając z nieba, nie doszłaby do ziemi, ale musiałyby trafić na grzywę konia lub na turban żołnierza... Słyszy to Miłosz, zięć Lazara i zmierza prosto do namiotu suktana i spełnia swoją ofiarę, przebija Amurata i sam ginie. Dotąd też w pieśniach, po całym kraju śpiewanych, brzmi dla niego cześć i uwielbienie, dla zdrajcy,

slugi; nie zostawiszże nikogo zemną na dworze? Carze Lazarze, zostaw mi choć jednego, co by ci mógł zawieźć list na Kosowe pole i z odpowiedzią wrócić. Bierzesz z sobą wszystkich moich miłych braci Jugowiczów, zostaw mi z nich choć jednego, żeby siostra miała przynajmniej zakłąć się na kogo.

Car serbski odpowie jej na to: Małżonko

miła, caryco Milico! Jutro, skoro dzień zaświta i słońce zejdzie, otworzą bramy grodu; ty wyjdź do wałów, stań przy bramie. Rycerze będą wyjeżdżali tamtędy w szyku bojowym, wszyscy z kopiami w rękę, a przed nimi będzie jechał Bozko Jugowicz z chorągwią krzyża. Pozdrów go odemnie i powiedz mu, niech odda komu zechce chorągiew, a zostanie z tobą we dworze.

Nazajutrz, skoro dzień zaświtał i słońce weszło, otworzono bramę grodu; caryca Milica wyszła do wałów i stanęła przy bramie. Ciągnie wojsko z miasta w szyku bojowym, jadą rycerze, wszyscy z kopiami w rękę, a przed nimi jedzie Bozko Jugowicz na rumańskim gniadym. Czyste złoto kapie z rzędu konia, ale powiewna chorągiew spływa aż na jego boki i rząd zakrywa. Na proporce chorągwi błyszczy jabłko złote, a na jabłku krzyż święty. Złote kutasy, spadając od krzyża, trącają Bozka po ramieniu.

Zbliża się caryca Milica, chwytając gniadosza za cugle i zarzuciwszy rękę na szyję bratu, tak mu szeptem do ucha:—Bracie kochany, Bozku Jugowiczu, car pozwolił mi zatrzymać cię od wyprawy na Kosowe pole; przesyła tobie pozdrowienie i rozkaz, żebyś oddał chorągiew komu chcesz, a pozostał zemną w Kruszewcu, niech przynajmniej mam zakląć się na kogo.

Ale Bozko Jugowicz jej odpowiada: Idź siostrze, wracaj do białego zamku, ja nie wrócę z tobą. Choćby mi car cały Kruszewiec dawał, chorągwi świętej nie oddam nikomu. Wszyscy towarzysze broni wytykaliby mnie palcami, mówiąc: Oto tchórz Bozko Jugowicz nie ma odwagi pójść na Kosowe pole, przelać krwi za Chrystusa, umrzeć z chwałą za wiarę!—To rzekłszy pomknął koniem i wyjechał za bramę.

(d. c. n.)

Pamiętne chwile.

Dzień 1 Kwietnia r. 1548. Co znaczą te dzwony weselne, które od rana rozlegają

się w stolicy krakowskiej? Głośniej nad wszystkie huczy dzwon wawelski, zdaje się mówić mieszkańcom starego grodu: „Ciesze się, ciesze, bo to dzień radosny!“ Co znaczą te tłumy strojne, co cisną się na rynek, te stoły rozstawione na nim, piętrzące się jadłem? Co znaczy ten hałas, co leci od góry Wawelu? tumany kurzawy go poprzedzają, za nimi coś się czerni, coś się posuwa, nareszcie tumany się rozstąpiły i szereg pojazdów wyjrzał. Przodem sunie wolnym krokiem złocisty rydwan, purpurowym sukniem wysłany, za nim szereg konnych panów i pojazdów różnorodnych; adamaszki barwiste, złotolite pasy, srebrne pancerze i hełmy, migają w promieniach słońca kolorami tęczy, szumią skrzydła husarzy, co ciągną także za rydwanem, powiewają brylantowe kity, a konie wielkie, rosłe, strojne w jedwabne siatki, pióra i złociste siodła, wesolo parszczą. Tłum, ujrawszy ów pochód wspaniały, rzucił stoły, które już otoczył i uszykował się w dwa rzędy, pochód wtoczył się z wolna w tę ulicę, żywą, krzyżującą, ruchliwą, jak fale morskie, przodem sunie złocisty rydwan, w nim widać mężczyznę w sile wieku, o pięknej, pogodnej twarzy, w szubie czarnej aksamitnej, gronostajami podbitej. Gdy rydwan wtoczył się pomiędzy dwa szeregi ludu, o pogodne sklepienia niebios obity się okrzyki: „Niech żyje Zygmunt August, niech żyje wnuk Jagiellonów, pan nasz i król!“ Zygmunt August wychylił się z rydwanu, i uprzejmym skinieniem głowy podziękował ludowi. Dopiero co włożył na głowę koronę, dopiero co wyszedł z katedry Wawelskiej, gdzie kapłan namaścił go na króla, dopiero co poprzysiągł sprawiedliwie i mądrze rządzić, a teraz jedzie, by lud powitać, by mu się przedstawić poraz pierwszy w godności króla. Lud kocha ród Jagielloński; bo dobrze mu było za jego rządów, bo wie, że i za Augusta tak samo mu będzie, wie, że nowy król posiada szlachetną ojca naturę, jego umiarkowanie, łaskawość, ludzkość i roztropność, więc go wita okrzykami wesela, a Zygmunt August uśmiechem mu za to dziękuje i każe jechać wolno woźnicy, by lud mógł się nacieszyć jego widokiem; a gdy rynek objechał, powrócił na zamek,

gdzie turnieje, potem muzyka i tańce zabawiały długo wszystkich.

Wesoło upłynął dzień koronacyi Augusta, ale nie tak wesoło jego życie; spotkało go wiele przykrości na tronie: najprzód panowie nie chcieli długi czas Barbary, żony jego ukochanej, królową uznać, potem, gdy wreszcie stałością przełamał ich niechęć i ujrzał zniszczone marzenia, koronę na czole Barbary, umarła ta piękna królowa, wtrąciwszy go na długo w głęboki smutek. Trzeciem z kolei zmartwieniem, które go żywo dotknęło, był wyjazd jegomatkki do Włoch, wyjazd, za który on rumienić się musiał, bo wiadomo z historyi, że cheiwa Włoszka uwiozła z sobą ogromne skarby.

Lecz o ile ciężkiem, smutnem było jego życie prywatne, o tyle pomyślnem jako króla i pod jego to rządami, za dobrowolną zgodą Inflantczyków, rozległy i bogaty ich kraj przyłączył się do Polski; mistrz inflantski, Gotard Kettler, ten akt zrzeczenia podpisał, pozostawiwszy sobie tylko Kurlandya. Pod jego rządami Polska z Litwą jeszcze się ściślejszym węzłem połączyły; zwoławszy roku 1569 zjazd do Lublina, August nadał jednokowe obu państwom przywileje, wspólne przymierza z postronnemi państwami, wspólne sejmy i narady miały być odtąd, dygnitarze koronni i litewscy w jednakowej liczbie z obu narodów składać mieli senat.

Zygmunt August panował lat 24. Był to król łagodny, dobry, ale sprężysty i stały w postanowieniach. Oto, co o nim nasz historyk Szujski powiada: „Spokojny i obojętny na pozór, niby powierzchwnia morza po długich i gwałtownych burzach, zachował Zygmunt wśród tylu różnych przykrości, krzyżujących się namiętności, rzadką trzeźwość i konsekwentność. Wśród wzajemnych nienawiści panów, wśród ciągłych ścierañ szlachty z panami umiał utrzymać wagę sprawiedliwości.“

Teresa-Jadwiga.

SKARBY MORZA.

Czy wiecie zkad pochodzą perły i korale? Te piękne, kosztowne cacka wydobywają się z głębi morza, jest to wyrób istot żyjących. Na dnach oceanów przebywa mnóstwo dziwnych stworzeń, wcale niepodobnych do tych, które zaludniają ziemię. Na rycinie widzicie po środku skojkę odemknietą; podobne skojki żyją także w naszych rzekach i stawach. W téj twardej skorupie mieści się zwierzątko zwane mięczakiem dla tego, że ma ciało zupełnie miękkie, bez żadnej kosteczki. Czasem i w tych rzecznych skojkach można znaleźć w miękkim ciałku zwierzątko twarde, drobne bryłki; to są perełki. Ale w morzu, zwłaszcza przy azyatyckich wybrzeżach, znajdują się perły daleko piękniejsze. Zkad się one tam biorą w tych skojkach? Wyobraźcie sobie, że to jest rodzaj choroby tego mięczaka. Czasem do środka skorupy dostanie się ziarnko piasku, lub okruszyna kamyczka i zrani miękkie płaszcz zwierzątka, to jest powłokę osłaniającą jego ciałko. Wówczas to miejsce zranione zaczyna sączyć szklistą masę, która powleka twarde ziarnko, a im dłużej się to odbywa, tém większa ztąd narasta perełka w fałdach płaszcza mięczaka. W jednej skojce znajduje się czasem do sześćdziesięciu pereł. Na brzegach azyatyckich połów tych szacownych cacek jest rzemiosłem wielu biednych ludzi, którzy z narażeniem życia spuszczaają się na sznurach w głąb morza i odrywają skojki, do skał podwodnych przytwierdzone.

Koral jest także wyrobem żyjącej istoty. Krzak rozgałęziony, przedstawiony na naszej rycinie, składa się cały z takiej twardej masy. Na pierwszy rzut oka zdawałoby się, że to roślina, ale to, co się wydaje gałęzią, jest skorupą, okrywającą miękkie ciałko zwierzątka. Na jednym podobnym krzaku mieści się mnóstwo takich zwierzątek, żyją tam sobie wspólnie, jak pszczoły w ulu, z tą różnicą, że nie mogą się oddalać od swojego mieszkania, bo są do niego przyrośnięte. Wyłazą tylko na wierzch przez otworki w gałę-

ziach koralu, wyciągają białe łapki i chwytają niemi pożywienie, różne drobniejsze od siebie żyjątka. Te łapki na wszystkie strony rozchodzą się, nakształt gwiazdki i wyglądają zupełnie, jak białe kwiatki, wyrastające na krzaku. Z tego też powodu nadano stworzeniom tego rodzaju nazwę zwierzkrowów, bo są zwierzętami, a wyglądają, jak krzewy.

Nie wszystkie koralce mają taką piękną, czerwoną barwę; inne gatunki są białe, lub szare, niektóre z nich rozrastają się tak ogromnie na dnach morskich, że tworzą całe wielkie wyspy. Żyjątka jedne giną, a na ich miejsce w nowych pędach rozmnażają się drugie, ale twarde rozgałęzione skorupy wszystkie pozostają i gdy taki pokład zajmie znaczną przestrzeń i podniesie się aż do powierzchni morza, muł wodny osadza się powoli na tej podstawie, fale morskie lub wiatry przenoszą na ten grunt nowy rozmaite nasionka, często i przelatujące ptactwo przyczynia się do tego i wnet nowa ziemia pokrywa się roślinnością. Na Oceanie Spokojnym jest wiele wysp takiego pochodzenia.

Nieprawdaż, że to byłaby rzecz ciekawa obaczyć, co tam się dzieje w głębi wody, przypatrzeć się zblizka wszystkim istotom morskim, we własnym ich żywiole, to jest na dnie morza. Sądzicie pewnie, że to niepodobieństwo, bo przecież człowiek nie może w wodzie oddychać, ani oczu otwierać, a nurkowie, gdy pogrążają się w głębiny morskie, szukając pereł, z pewnością nie tam obaczyć nie mogą. A jednak ludzie i na to obmyślili sposób. Wyobraźcie sobie dowcipny przyrząd, ubranie całkowite, w którym nurek może z otwartymi oczyma i oddychając najwygodniej, zapuścić się pod wodę. Na głowie ma on hełm obszerny ze szklanymi okienkami na oczy, doskonale zabezpieczony od przystępu wody i mający zapas świeżego powietrza do oddychania. Siedzi tam sobie, jakby w domku malutkim, z którego przez okienka wyzierni, widzi więc wszystko dokoła i oddycha swobodnie. W miejscach, gdzie morze nie jest zbyt głębokie, można tym sposobem spuścić się aż na jego dno; w wielkich głębokościach trudno już się utrzymać, bo woda, znacznie od powietrza

cięższa, nadzwyczajnie przygniata człowieka, więc ubiór cały wpija mu się w ciało tak, że się poruszyć nie może, jakby był żelaznemi obręczami skrępowany, a i oddychanie z tegoż samego powodu staje się utrudnione, pomimo dostatecznego zapasu powietrza. Można jednakże bez żadnego niebezpieczeństwa spuścić się w głębinę dochodzącą trzydziestu kilku metrów pod powierzchnią wody, a i to wcale nie żarty.

Ci, którzy odbywali takie wycieczki, zachwycają się szczególnie przeslicznym zabarwieniem podwodnego świata. Wszystko tam tonie w błękitnej barwie wody, nurek doznaje takiego wrażenia, jakby był zanurzony w jakimś niezmiernym przestworze lazurowym. Na tém piękném, jasném tle błękitu, przeslicznie odbijają zielone sploty wodorostów, a zamiast różnobarwnych kwiatów, mnóstwo tam jest jaskrawych zwierzątek morskich, muszel, skorupiaków i zwierzkrowów, ryby nawet mają często ozdobne łuski purpurowe, granatowe, lub srebrzyste, z metalowym odblyskiem. Wszystkie te morskie istoty nie okazują najmniejszej obawy na widok nurka, jest to dla nich coś tak niezwykłego, że z ciekawością mu się przypatrują i natrętnie się doń zbliżają. Toż samo dzieje się i w puszczech bezludnych, w wielkich lasach amerykańskich i afrykańskich, gdy człowiek się tam po raz pierwszy pojawia.

W większych miastach europejskich są zwykle urządzone akwarya, to jest sadzawki sztuczne, gdzie utrzymują rozmaite wodne istoty. Zwykle też w tych akwaryach boki są z tafel szklanych zrobione i można zaglądać do środka i przypatrywać się życiu tych stworzeń.

M. J. Z.

Objaśnienie wzoru do rysunku.

Dziewczynka z pieskiem usadowiła się widocznie naumyślnie, ażebyście ją mogli odrysować. Już nieraz powtarzaaliśmy, że rysując postaci siedzące, leżące, lub pochylone,

trzeba bardzo uważać, ażeby żadnej linii nie zmienić i dokładnie zachować wszystkie zarysy główne, jeżeli chcemy, ażeby położenie téj postaci wyglądało zupełnie tak samo, jak na wzorze. W tym obrazku ważne także ma znaczenie zacięniowanie, od niego zależą głównie wypukłości, jak to najlepiej można widzieć na naczyniu, stojącym z boku.

PRZYGODY

NIEUSTRASZONYCH PODRÓŻNIKÓW

W PUSZCZACH AFRYKAŃSKICH.

(*Dalszy ciąg*).

Teraz wyjaśnimy w kilku słowach, dla czego ta wzmianka o hebanie tak mocno uraziła Rontonaka. Nie szło tu wcale o zwyczajne hebanowe drzewo, ten towar, na którym dziad jego, pradziad i on sam zbierał miliony, to byli nieszczęśliwi niewolnicy murzyni. Niecny ten handel prowadzony był na wielką skalę przez Europejczyków różnych narodowości, od czasu, gdy nowopowstające osady amerykańskie zaczęły potrzebować wielkiej ilości rąk do uprawy ziemi w téj krainie miodem i mlekiem płynącej. Założyciel domu handlowego Rontonaków jeszcze w r. 1640 wybrał się w podróż na wybrzeża Gwincii, zakupił dwustu niewolników, a sprzedawszy ich z ogromnym zyskiem, stał się odrazu panem znacznego majątku. Od téj pory korzystny ten handel prowadzony był stale przez wszystkich jego następców. W r. 1780 Pensylwania pierwsza zniosła u siebie handel niewolnikami, ale kupcy europejscy nie zważali na to wcale; dom Rontonaków posiadał już wówczas liczne okręty i wywoził rocznie około dwudziestu tysięcy niewolników z Afryki do rozmaitych portów amerykańskich. Dania poszła wkrótce za przykładem Pensylwanii, zabraniając swoim marynarzom brać udziału w tym niegodziwym handlu, ale państwa te nie miały żadnego wpływu na inne narody.

Przyszły jednak czasy, gdy sumienie ludzkie musiało powstać przeciw takiej publicznej zbrodni. Dwa potężne państwa, Francya i Anglia, postanowiły połączyć swoje usiłowania, ażeby znieść handel przynoszący hanbę narodom cywilizowanym. Statki wojenne rozciągnęły ścisły nadzór nad okrętami kupieckimi, gdzie tylko wykryto nieszczęśliwych niewolników, natychmiast powracano im wolność a ciemńey ich srogo byli karani. Wówczas to Cezary Rontonak, ojciec tego, z którym przed chwilą zapoznaliśmy czytelników naszych, wziął się na inny zupełnie sposób. Okręty jego nie przestały krążyć po różnych morzach, ale teraz prowadziły handel jawny z Indją, Japonią i Chinami a jeśli wstępowały czasem na wybrzeża afrykańskie, to tylko dla zakupów niewinnych słoniowej kości lub palmowej oliwy. W ogromnych magazynach, należących do tego bogatego domu handlowego, pełno było cukru, kawy, korzeni, skór rozmaitych i innych zamorskich towarów, na pozór więc zdawało się, że rodzina Rontonaków dobrowolnie zrzekła się niesumiennego handlu, który ją wzbogacił, lecz był to tylko pozór; tak stary Rontonak, jak i syn jego, pokryjomu wysyłali ciągle agentów swoich do Afryki i przewozili nieszczęśliwych murzynów do miast amerykańskich. W końcu, gdy niebezpieczeństwo stało się coraz większe, urządzili się w taki sposób, że sobie dobrali współników w Ameryce i ci, w zamian za znaczny udział w zyskach, brali na siebie całą odpowiedzialność, podawali się urzędownie za właścicieli okrętów, i pozornie zawierali tylko umowę z domem Rontonaków o przewóz towarów.

Okręty te zbudowane były osobliwym sposobem, nieznanym jeszcze w Europie. Każdy miał doskonale ukrytą śrubę parową, o sile dwustu koni, a tak, chociaż wyglądał tylko na okręt żaglowy, mógł w razie nagłej potrzeby zmienić się w parowiec i umknąć szybko przed pogonią. Jeden z mechaników bostońskich wynalazł ten dowcipny przyrząd umyślnie dla Rontonaka, który mu zapłacił tysiąc dolarów za pomysł, a drugi tysiąc za dotrzymanie tajemnicy. Cały mechanizm mógł być w jednej chwili w ruch

wprawiony; komin miał miejsce gotowe obok pieca kuchennego, a zapas węgla był na dnię okrętu.

Ta flotylla tajemna składała się z kilkunastu statków, ale dowódcy ich nie wiedzieli jedni o drugich i każdy był przekonany, że on tylko jeden taką współkę zawarł z domem Rontonaków. Każdy też umówiony był na cztery wyprawy, a za każdą przewoził około czterystu niewolników. Zyski były ogromne, to też i kapitan i majtkowie mieli wynagrodzenie królewskie, po odbyciu czterech podróży, wzbogacali się wszyscy i rozchodzili w różne strony świata, w własnym interesie zachowując głębokie milczenie o awanturniczych swoich przygodach.

Ze wszystkich obecnych współników Rontonaka, najodważniejszym i najrzęczniejszym hultajem był kapitan Noel, a Osa prym trzymała pomiędzy wszystkimi statkami; puszczała się właśnie w podróż po raz czwarty.

III.

Pasażerowie Osy.

Czterej pasażerowie rządowi zapisali w księdze okrętowej następujące nazwiska: Toucas, podkomisarz marynarki, Giliasse, starszy felczer, Barthet, podoficer marynarki, Guillois, niższy urzędnik marynarki. Dwaj pierwsi, podkomisarz i felczer, byli to ludzie już niemłodzi, przeszło pięćdziesięcioletni i przyjaciele najserdeczniejsi. Od dzieciństwa prawie nie rozłączali się z sobą, razem niedgdyś bawili się piaskiem i muszelkami na wybrzeżu morskiem, razem też w szkołach odbywali nauki, dodajmy dla dokładności, że zawsze obok siebie na jednej ławce siadywali, a nigdy na inną, tylko na ostatnią. Weszło też w zwyczaj, że przy odczytywaniu listy uczniów, nadzorca na końcu z naciśkiem wymawiał:—Toucas i Giliasse pozostają na zwykłych miejscach.—A cała klasa wybuchała głośnym śmiechem. Tak doszli do lat ośmnastu, a rodzice widząc, że choćby i najdłuższe lata na tej nieszczęsnej ławce wysiadywali, nigdy ich to nie doprowadzi do ukończenia szkoły, zabrali obu do domu. Ale trzeba było z nimi coś zrobić, bo

ani jeden ani drugi nie mógł się po rodzicach spodziewać majątku. Oddano więc Toucasa do biura marynarki na pisarza, bo w czasie długiego pobytu w szkołach nauczył się pisać jako tako, Giliasse zaś wstąpił do szkoły felczerskiej przy jednym z miejskich szpitali. Po latach dziesięciu, pierwszy ani o jeden stopień nie posunął się w swoim zawodzie, zawsze zajmował w biurze najpodrzedniejsze miejsce, gdyż przekonano się, że oprócz przepisywania nie można mu było żadnej roboty powierzyć; drugi, przesiedziawszy lat kilka w szkole felczerskiej, nie mógł jakoś w żaden sposób zdać egzaminu, była to słaba jego strona, przez całe życie nie udał mu się jeszcze nigdy żaden egzamin, skończyło się więc na tém, że pozwolono mu terminować w szpitalu przy jednym z felczerów; było to stanowisko mało co wyższe od prostego posługacza.

Ale bywają chwile, kiedy zarząd marynarki zmuszony jest wydobywać z ukrycia największych niedołęgów i powierzać im urzęda, które w zwyczajnych okolicznościach są dla nich zupełnie niedostępne. Zdarza się to mianowicie wtedy, gdy potrzeba obsadzać wakujące miejsca w oddalonych zamorskich koloniach, znanych z niezdrowego klimatu. Każdy wtenczas wymawia się i wyprasza, jak może i woli poprzestać na mniejszej pensyi i niższym stanowisku w kraju, niż narażać się na daleką i niebezpieczną podróż i niemniej niebezpieczny pobyt w kraju, gdzie żółta gorączka panuje. Jest to wyborna sposobność do wyniesienia się dla takich ludzi, jak nasi dwaj przyjaciele. Nawet egzamina w tym razie bywają ułatwione. Owóż zdarzyło się pewnego razu, że gubernator jednej z kolonii francuzkich w Senegalu, żądał od administracyi marynarki urzędnika biurowego i felczera. Toucas i Gilliase, dowiedziawszy się o tém, odbyli krótką naradę i podali się jako kandydaci na te miejsca. Nie mieli ani jednego współzawodnika i nadszedł wreszcie dzień wielki i pamiętny, gdy obaj wierni szkolni koledzy po raz pierwszy zdali z powodzeniem egzamin, jeden na biuralistę, drugi na felczera. Już to, co prawda, obaj w niemały kłopot wprawili komitet egzaminujący, bo nie umieli odpowie-

dzieć bez myłki na żadne pytanie, ale to była tylko formalność, administracja wiedziała z kim ma do czynienia, otrzymali więc potrzebne stopnie i w parę tygodni wyruszyli do Senegalu. Przebyli tam lat ośm, zupełnie zadowoleni z siebie i ze świata; urzędowych zajęć mieli bardzo niewiele, więc wszystkie wolne chwile poświęcali na prowadzenie handelku, który daleko pomysłniej im się powodził od nauk. (d. c. n.)

S z a r a d a.

Dwie pierwsze — kwiatów królowa,
Biała, żółta, lub różowa,
Zdobi ogród i pokoje;
Trzecia podwójnie, z ostatkiem,
Prześlicznym jest także kwiatkiem;
Wszystko razem — imię moje.

Łamigłówka w kwadraciku. (Małgosia).

W kwadraciku złożonym z 16 podziałek, ułożyć: 3 A—1 Ć—2 J—2 K—3 O—2 N—2 R—1 W—tak, ażeby odczytać w obu kierunkach: 1) To, co się w każdym pokoju znajduje. 2) Miasto w Afryce, 3) Tytuł pisma peryodycznego. 4) Słowo, oznaczające robotę na wsi.

Łamigłówka liczbowa. (Wł. N.)

Z ośmiu liter: 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, nazwisko pisarza historycznego polskiego. Przedstawiając litery otrzymamy sześć wyrazów trzygłoskowych:

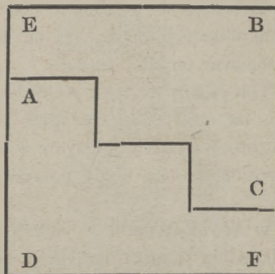
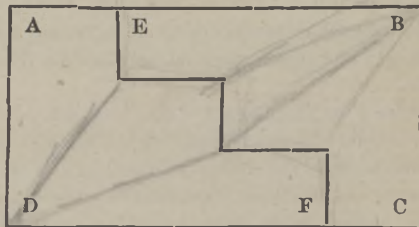
- 1, 2, 3, Rodzaj zabawy.
- 3, 2, 7, Przedmiot używany przy pisaniu listów.
- 3, 2, 6, Rodzaj roślinności.
- 3, 8, 6, Zwierzę.
- 1, 2, 6, Narzędzie muzyczne.
- 1, 4, 6, Wykrzyknik.

Rozwiązania do Numeru 13-go.

Kryptografu:

Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

Łamigłówki geometrycznej:



Zygzak od E do F oznacza rozcięcie.

Łamigłówki w kwadraciku

Z	A	R	A
A	M	U	R
R	U	P	A
A	R	A	B

baliznik

Odpowiedzi od Redakcyi.

Marysię W. w Swojczanach. Dla nas także ze wszystkich względów jest najdogodniej, gdy Pismo wprost w naszej redakcyi jest prenumerowane i zawsze o to upraszamy. Bardzo się cieszymy, że *Dohatarka z nad Szreniawy* tak się kochanym czytelnikom podobała. Mamy już w pogotowiu drugą powieść tej samej autorki: *Z życia wielkiego wojewody*. Z rozpoczęciem jej czekamy tylko na ukończenie ilustracji, które rysuje pan J. Moniuszko. Komedyjki drukujemy właśnie obecnie, już drugą w tym roku, a i trzecią zamieścimy w Maju. W *Czytaniach Wieczornych* p. Dzieduszyckiej podawane są wie sze najlepszych naszych poetów, a takie właśnie do deklamacyi są najstosowniejsze. Trudno jednak dla braku miejsca bardzo wiele takich poezyj drukować, bo musimy także zamieszczać i drobniejsze wierszyki, umyślnie dla *Wieczorów* pisane.

Anulce J. w Niszowcach Jakaż to szkoda, że rozwiązanie zagadki historycznej, tak dobrze i porządnie napisane, zapożno nadeszło, abyśmy o niem mogli w porę dać wzmiankę. Ze smutkiem dowiedzieliśmy się o chorobie braciszka, Bogu dzięki, że jest już lepiej, prosimy o dalsze wiadomości. Kirchholm pisze się właściwie przez dwa h, chociaż rzeczywiście w niektórych dziełach historycznych można napotkać pisownią tej nazwy przez jedno h. Ale jest to zapewne omyłka druku.

Maryni T. Tak piękny użytek z pieniędzy, własną pracą zarobionych, na największą zasługuje pochwałę; my zaś ze swojej strony wszelkich dolożymy starań, aby kochana nasza prenumeratorka nigdy poniesionych kosztów nie żałowała.

Masiuni K. w Wońkowcach. Dziękujemy serdecznie za miłutki liścik, który stanowi najlepszy dowód, że Pismo nasze z uwagą jest czytane, bo wszystkie zdania o powiastkach i opowiadaniach są bardzo trafne. Wierszyk przetłumaczony jest zřęcznie i gładko; wydrukujemy go troszkę później.

Pani Maryi K. Literaturę M. cherzyńskiego możemy śmiało polecić, jako dobrą podręcznik. Trudniej jest o wybór geografii; podręczników szkolnych polskich nie wydają teraz wcale w Warszawie. Możemy wskazać galicyjskie wydania Baranowskiego i Dziedzickiego, lub Kluna, przekład z niemieckiego. Bardzo jest dobra geografia Guthego, ale dla starszych.

Treść.—Teodorek, (wiersz), przez Bożenę.—Wujaszek z za morza, komedyjka w 2-eh aktach, przez Bożenę, (do-kończenie).—Domowa apteczka, przez K. S.—Pieśni dawne i dawni pieśniarze, (dalszy ciąg).—Pamiętne chwile, przez Teresę-Jadwigę.—Skarby morza, (z drzeworytem), przez M. J. Z.—Objaśnienie wzoru do rysunku, (z drzeworytem).—Przygody nieustraszonych podróżników w puszczach Afrykańskich, (dalszy ciąg).—Ławigłówni.—Rozwiązania.—Odpowiedzi od Redakcyi.—Ogłoszenie.

Prenumerata wynosi w Warszawie: *Rocznie* Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinny. *Kwartalnie* Rs. 1 i kop. 2½, *Miesięcznie* kop. 34 i pół. Na Prowincji i w Cesarstwie z opłatą poczt: *Rocznie* rs. 5 i 10 kop. *Kwart.* rs. 1 kop. 27½, w Poznaniu u N. Kamińskiego: *Rocz.* 14 marek. *Kwart.* 3 marki 50 fenig. Z przesyłką pocztową na prowincyi *Rocz.* 16 marek. *Kwart.* 4 marki. We Lwowie u Gubrynowicza Schmidta *Rocz.* 7 zlr. 20 cent. *Kwart.* 1 zlr. 80 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyi: *Rocz.* 8 zlr. 80 cent. *Kwart.* 2 zlr. 20 cent. w Krakowie u Gebethnera i Sp. *Rocz.* 6 zlr. 60 cent. *Kwart.* 1 zlr. 65 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyi: *Rocz.* 8 zlr. *Kwar.* 2 zlr.

Biurow Redakcyi: Ulica Ś-to Krzyżka Nr. 14.

Pani C. Cz. w Odessie. Wysłałiśmy komplet zeszlóroczny *Wieczorów* zbrozurowany, z przesyłką kosztuje rs. 4,50. Katechizm Kamockiej także z przesyłką kop. 20, pozostaje więc do rozporządzenia pani kop. 90.

Olesiowi R. w Jasicach. Chociaż zapowiedzieliśmy, że Nrów zeszlórocznych, nie z naszej winy zagubionych, nie możemy rozdawać darmo, psując sobie pozostałe kompleta *Wieczorów*, nie mogliśmy jednak odmówić tak grzecznie wyrażonej prośbie i na ten ostatni raz wysłałiśmy Nr. żądany. Ale dużo mieliśmy kłopotu z wyszukaniem adresu, bo w liściku nie był wypisany wyraźnie i trzeba było długo i mozolnie szukać po ksiązkach, ażeby się dowiedzieć, jaki to chłopczyk czytuje Pismo nasze w Jasicach. Każdy, kto się upomina o przysłanie brakujących Nrów, powinien wyraźnie nazwisko swoje i adres dokładny wypisać.

Stefci D. w Nałodnój. Brakujące arkusze powieści wysłałiśmy natychmiast. Prosimy wszystkich kochanych czytelników naszych, aby jaknajśpieszniej nam donosili, ile razy brak podobny spostrzeżają.

Pani M. R. w Odessie. Żądane Nra *Wieczorów* wysłałiśmy pod opaską. Pozostałe pieniądze zaliczyliśmy na Szpitalik.

Sewerynowi H. w Radomiu. Liścik taki miły i uprzejmy, a pisany przez czytelnika ciężkim cierpieniem dotkniętego, rozrzewił nas bardzo. Cierpliwe znoszenie choroby, wielką jest zasługą, i Bóg daje zawsze potrzebną do tego siłę tym, którzy go o to szczerze proszą. Zadanie konikowe zamieścimy niezadługo, ale do ławigłówni kryształowej trzeba by wybrać nazwisko sympatyczniejsze.

Mani P. w Włoczewie. Zaraz po odebraniu miłego liściku, śliczną kaligrafią pisanego, chcieliśmy odesłać początek powieści, który wszyscy nowi prenumeratorzy otrzymują. Jakże mogliśmy jednak to uczynić, kiedy w liściu nietylko adresu, ale nawet nazwiska niema? Na inne pytania odpowiemy obszernie w następnym Nrze Pisma, teraz śpieszymy z prośbą o nadesłanie dokładnego adresu.

T. Papi. (Teresa-Jadwiga)

zawiadamia szanowną Publiczność, iż przyjmuje PANNIENKI, które chcą pobierać nauki w Warszawie; daje im opiekę troskliwą i zapewnia rozmowę w obcych językach. Wiadomość przy ulicy Wielkiej Nr. 16.